

OPOWIADANIA

Michał
Choromański



Warianty

Michał Choromański

WARIANTY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-02-9

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1964

Projekt okładki: Marcin Labus

Spis treści

MAŁA GALERIA

TRYPTYK CHULIGAŃSKI

 KRZYŻÓWKA

 ŁOKCIE

 RADOŚĆ

CÓRKA EWY

GRA PRZYRODY

KONRAD PRZEZ C

MAŁA GALERIA

Umówiłem się z nim w parku. Była tam niewielka kawiarnia i stoliki pod parasolami stały między pniami drzew. Siedziałem w cieniu kwitnącego kasztana i czekając na małego Ryszarda jadłem lody.

Mały Ryszard. Tak go nazywano w rodzinie i w kółku bliskich znajomych jeszcze przed wojną, żeby nie płać z bratem jego matki, starym wujem Ryszardem. Pamiętałem go jako piętnastoletniego chłopaka, zawadiacko jeżdżącego na nartach w pewnej miejscowości podgórskiej, gdzie uczył się w gimnazjum. Wojna zmiotła część rodziny, część zanosła na drugą półkulę i w kraju pozostawiła tylko starego Ryszarda, jego wuja. Ale wuj Ryszard wkrótce po wojnie zmarł, wśród plotek i okoliczności dotąd nie wyjaśnionych. Praktycznie rzecz biorąc, mały Ryszard nie miał w kraju nikogo, więc przyjazd jego tutaj był jakby skokiem w nieznane; tak to sam określił w jednym ze swoich listów do mnie przed przyjazdem. Trzeba przyznać, że uczynił to, to znaczy skoczył, z pewną narciarską elastycznością; o ile mi było wiadomo, nie popełnił ani jednej gafy, ani jednego towarzyskiego nietaktu: nie zranił nikogo uszczypliwościami w stosunku do terażniejszej rzeczywistości, nie zraził nikogo łzawym sentymentem do wszystkiego, co swojskie. Zachował umiar i powściągliwość.

Miało to swoje dobre i złe strony. Złe dlatego, że większość jego nowych znajomych uznała go wkrótce za przeciętność. „Po prostu nie ma nic do powiedzenia” – mówiono o nim tam i ówdzie. Mały Ryszard tym się nie przejmował. Nie miał wygórowanych ambicji i nie chciał uchodzić za lepszego, niż był naprawdę.

Ale po upływie dwóch lub trzech miesięcy zauważyłem w nim pewną zmianę. Coś jak gdyby zaczęło się psuć i mały Ryszard zaczął okazywać zdenerwowanie. Zatelefonował do mnie w niedzielę z rana. Z kapeluszem i laską w rękę, bo byłem na odchodnym, zdjąłem słuchawkę. „Dzień dobry panu – usłyszałem jego głos – bardzo bym chciał się z panem zobaczyć. Czy ma pan trochę wolnego czasu?” Mówił szybciej niż zwykle i głos miał trochę zmieniony. „Właśnie wybieram się na spacer” – odpowiedziałem. „Doskonale. Czy mógłbym się do pana dołączyć? – spytał. – Chcę panu coś powiedzieć”. Powiedziałem, dokąd się wybieram i gdzie będę na niego czekał.

Zjadłem lody, przejrzałem ilustrowane czasopismo i spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Mały Ryszard spóźnił się już pół godziny. Czekałem jeszcze kwadrans. Chciałem już wstać, gdy nagle posłyszałem za plecami jego zdyszany głos:

– Przepraszam bardzo, że się spóźniłem.

Odwrociłem się. Mały Ryszard nadszedł boczną ścieżką i teraz ukazał się moim oczom w całym blasku swej zagranicznej doskonałości. Na nogach miał nowiutkie, brązowe buty, błyszczące matowym, drogim blaskiem, oraz granatowe nylonowe skarpetki w paski; granatowe spodnie były starannie zaprasowane bodajże ręką krawca; na szarej, kraciastej marynarce nie było ani zmarszczki, ani plamki. Był w kremowej koszuli o sztywnym, połyskującym kołnierzyku, z granatowym krawatem w srebrne pasy. Pachniał delikatnie lawendą. Uśmiech jego przypominał reklamę Dentosanu.

– Co się stało? – spytałem.

– Tramwaj – odpowiedział i usiadł na ogrodowym krzeselku obok. Z przyjemnością spojrzałem na jego wypielęgnowane ręce wystające z nieskazitelnie czystych mankietów. Widać było, że mył je często, szorując szczotką.

– Nie trafił pan do tramwaju? – spytałem.

– Do kilku – odpowiedział. – Na stadionie jest jakiś mecz i nie można się dostać do żadnego wozu. Taki ścisk i tłok, że pomyślałem sobie o Dantem. Widziałem, jak jakiś pan, wskazując na stopień, łokciem uderzył kobietę po twarzy.

– Ach tak? – powiedziałem i nastawiłem ucha. Po raz pierwszy bowiem z ust jego padła krytyczna uwaga. Potem dodał coś jeszcze, co wydało mi się wręcz zaskakujące.

– Wszystko to razem jest bardzo egzotyczne – powiedział.

Przyjrzałem mu się, nie kryjąc zdziwienia. Miał małą główkę, o bujnej czuprynie orzechowego koloru, takie same jak marynarka szare oczy i gładko wygolone, upudrowane policzki; na kościach policzkowych widniały dwie różowe plamki wypieków. Wiedziałem, że ma lat trzydzieści pięć, ale nie dałbym mu nawet trzydziestu. Mimo że wciąż jeszcze był zdyszany – bo widocznie szybko przedtem szedł – nie zauważyłem w nim szczególnego podniecenia; mówił wcale rzeczowo i spokojnie, aczkolwiek z pewnymi akcentami, których dawniej niebyło; przy słowie „egzotyczne” błysły mu na sekundę oczy. Potem zacisnął wargi.

– Czy w ciągu tych paru ostatnich dni, kiedyśmy się nie widzieli, zaszło coś nowego? – spytałem.

– Nie. Otóż właśnie że nie – rzekł.

– A przecież miał mi pan coś do powiedzenia?

Mały Ryszard sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął notes. Była to oprawna w safian książeczka o złożonych brzegach. Otworzył ją na pierwszej stronie.

– Poznaje pan charakter pisma?

– Poznaję pismo pańskiej matki – odpowiedziałem.

– To moja matka zanotowała tych kilka adresów, kiedy zachorowała. Chciała koniecznie, żebyśmy tych ludzi odszukał.

– Czy matka pańska wiedziała o pańskich zamiarach powrotu do kraju? – spytałem.

– Przeczuwała to przed śmiercią.

– I to są adresy jej przyjaciół?

– To są adresy przyjaciół wuja Ryszarda. Matka nie wierzyła w jego samobójstwo. Znała zbyt dobrze swego brata.

– Przecież to nie było samobójstwo – odpowiedziałem. – O ile pamiętam, sekcja zwłok nie wykazała obecności trucizny w organizmie.

– Dlaczego w takim razie na stole przed nim leżał list, w którym pisał, że rozstaje się z życiem bez żalu do kogokolwiek? – powiedział mały Ryszard. – Od razu po przyjeździe odwiedziłem tych jego przyjaciół. Ja wtedy nie jeździłem jeszcze tramwajami. Wziąłem taksówkę i pojechałem za rzekę, do dawnej dzielnicy willowej. Tam, w szarej, pocętkowanej odpryskami pocisków willi, położonej w ogródku, mieszkają Mirowscy. Olgierd i Maria Mirowscy. O, widzi pan?

Mały Ryszard znowu otworzył notes na pierwszej stronie i wskazał coś palcem. Kiwnąłem głową.

– Wsiadłem z taksówki. Zapłaciłem kierowcy i powiedziałem: „Dziękuję”. Nic nie odpowiedział. Zirytowałem się. „Dziękuję!” – powtórzyłem. Popatrzył na mnie i trochę przy tym wybałuszył oczy. „Czego pan ode mnie chcesz?” – spytał. Westchnąłem i wzruszyłem ramionami. Był koniec marca i chlapanina. Z nieba padał ni to śnieg, ni to deszcz. Byłem więc w kaloszach i z parasolem. W ogródku na ścieżkach było błoto po kolana. Dobrnąłem jakoś do drzwi i nacisnąłem guzik dzwonka. Mogłem tak dzwonić do następnego rana, bo, jak się okazało, dzwonek nie działał. Wreszcie zniecierpliwiłem się i zapukałem rączką parasola w drzwi. Otworzyła mi jakaś kobieta w przedziwnej kapocie, sięgającej do stóp. Włosy miała w nieładzie, mimo że już było południe. Nie wiem, czy mój wygląd zrobił na niej takie wrażenie, ale popatrzyła na mnie jak na Marsjanina. Uchyliłem kapelusza i spytałem uprzejmie, czy zastałem państwa Mirowskich. „Co to mnie obchodzi? – odpowiedziała. – Jak do Mirowskich, to trzeba było pukać do okna”. Otworzyła jednak połówkę drzwi na oścież, tak że mogłem wejść. Znalazłem się w przedpokoju, w którym nie było ani jednego mebelka. Na ścianach wisiało parę sztychów w drewnianych ramach bez szkła, a obok na prawo – wieszak. Wskazała właśnie te drzwi. „To tam” – powiedziała. Pamiętam, że krępowaly mnie

zabłocone kalosze. Zdjąłem je nie ruszając się z miejsca i odstawiłem trochę na bok. Gdy się wyprostowałem, patrzę – w drzwiach na prawo stoi jakaś pani niewysokiego wzrostu, w przezroczystej bluzeczce i z głową przypominającą szare karkuły, tyle miała siwych loczków. Była to pani Mirowska. Pan jej nie zna?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie znam tych państwa.

– Okropne miała ręce i paznokcie – ciągnął mały Ryszard. – I okropne usta. Brakowało jej kilku zębów. Ukłoniłem się i powiedziałem, kim jestem. „Proszę wejść” – powiedziała. Powiesiłem kapelusz i parasol na wieszaku i chciałem zdjąć płaszcz, gdy zawołała: „Chryste Panie!” Cofnąłem się mimo woli. „Czy zamierza pan to wszystko zostawić w przedpokoju?” Ku memu zażenowaniu podbiegła ku kaloszom i chwyciła je ręką. Podbiegłem również. „Pani pozwoli” – powiedziałem. „Ależ; to głupstwo – odpowiedziała nie oddając kaloszy – pan zanieś do pokoju resztę”. Weszliśmy do pokoju i wtedy przedstawiła mnie panu Mirowskiemu. Cóż to był za pokój. Stała w nim wielka, żółta szafa i dwa żelazne łóżka, przykryte watowanymi kołdrami. Pod oknem stał okrągły stół, dwa kuchenne krzeselka i obdarty klubowy fotel z wystającymi sprężynami. Żadnej doniczki z kwiatami, żadnego obrazka na gołych ścianach. Stół był przykryty gazetami. Jakieś szmatki leżały na jednym z krzeseł. To wszystko. „Oto siostrzeniec Ryszarda” – przedstawiła mnie pani Mirowska swemu mężowi. Staruszek był w czarnym, poplamionym ubraniu i w zatłuszczonym krawacie, niegdyś wiśniowego koloru. Był niziutkiego wzrostu, szczupły i kruchy. Zdawało się, iż ledwie się trzymał na nogach. Miał też okropne usta. Nie chciał wypuścić z rąk mej ręki, aż wreszcie to mnie zaczęło krępować. „Chciałem się dowiedzieć szczegółów śmierci wuja” – powiedziałem. Mirowscy spojrzeli po sobie. „Umarł. Po prostu umarł na zawał serca” – powiedział staruszek. „Oleś – powiedziała pani Mirowska, jak mi się zdawało ostrzegawczo – poproś pana, żeby usiadł. Ja zaraz wrócę”. Wyszła za drzwi, ale kroków jej w przedpokoju nie słyszałem. Usiadłem na krzeselku. Staruszek stał obok i patrzył mi na nogi. „Przepraszam – powiedział w pewnej chwili – czy to są buty zagraniczne?”

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI